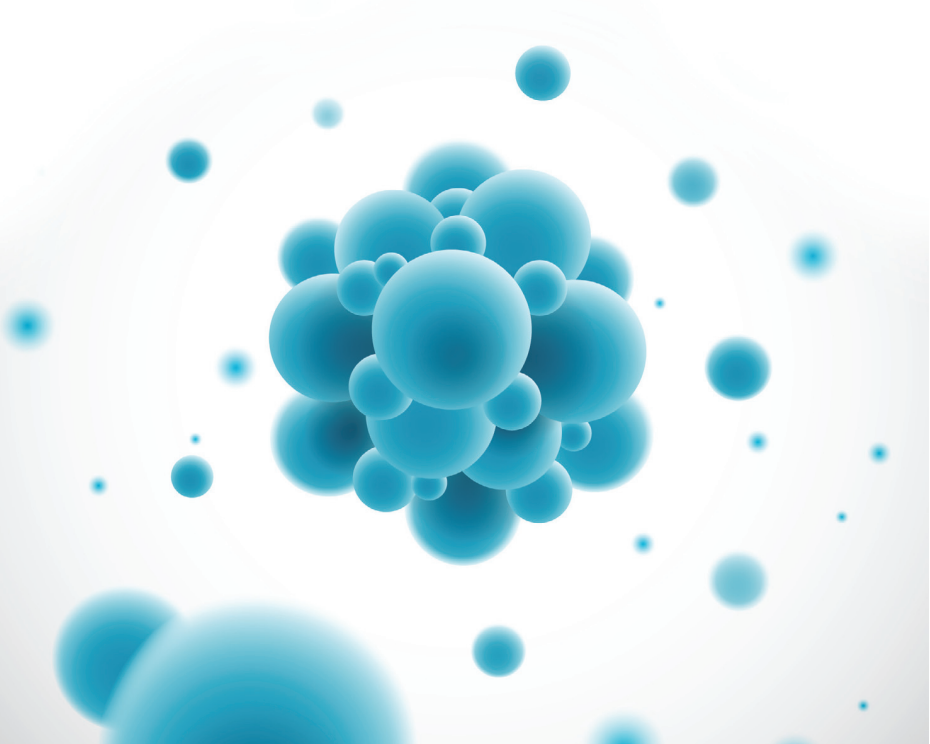


Tajemniczy organizm atakuje pracowników stacji kosmicznej

TESS GERRITSEN

Grawitacja



Rozdział pierwszy

Rów Galapagos

30 stopni szerokości południowej,

90 stopni 30 minut długości zachodniej

Szybował nad skrajem otchłani.

Pod nim otwierała się czarna pustka zimnego podwodnego świata, do którego nigdy nie dociera słońce, gdzie jedynym światłem jest przelotne lśnienie bioluminescentnego organizmu. Leżąc płasko w dopasowanym do ciała kokonie *Deep Flight IV*, z głową tkwiącą w jego stożkowatym akrylowym dziobie, doktor Stephen D. Ahearn miał wrażenie, że unosi się niczym nieskrępowany w międzygwiazdnej przestrzeni. W świetle lamp zamocowanych na skrzydłach widział deszcz szczątków organicznych, które opadały z przesyconych światłem wód daleko na górze. Martwe pierwotniaki dryfowały tysiące stóp w dół, by osiąść na cementarzysku na dnie oceanu.

Sunąc przez nieustannie osypujące się szczątki, Ahearn prowadził *Deep Flight* wzdłuż skraju podwodnego kanionu, po lewej stronie mając otchłań, pod sobą podwodne plateau. Choć osady sprawiały wrażenie jałowych, wszędzie widać było oznaki życia. Na dnie pozostały ślady stąpających po nim i pełzających stworzeń, teraz bezpiecznie ukrytych pośród osadów. Widział również ślady ludzkie — zardzewiały łańcuch oplatający urwaną kotwicę, a trochę dalej zanurzoną do połowy w szlamie butelkę po oranżadzie — upiorne pozostałości istniejącego tam, na górze, obcego świata.

W polu jego widzenia ukazało się nagle coś dziwnego. Miał wrażenie, jakby znalazł się w podwodnym lesie, pośród zwęglonych pni. Były to mające dwadzieścia stóp średnicy czarne kominy, utworzone przez roztopione minerały wydzielające się ze szczelin w płaszczu ziemi. Kręcąc manetkami, łagodnie skierował *Deep Flight* w prawo, żeby je ominąć.

— Dotarłem do źródła hydrotermicznego — powiedział. — Poruszam się z prędkością dwóch węzłów. Po lewej stronie widać kominy.

— Jak ci się ją prowadzi? — zatrzeszczał w słuchawkach głos Helen.

— Wspaniale. Chcę dostać na własność jedno z tych cacek. Helen roześmiała się.

— Musiałbyś nam wystawić czek na bardzo dużą sumę, Steve. Zauważyłeś już nodule? Powinny być wprost przed tobą. Ahearn milczał przez chwilę, wpatrując się w mrok.

— Widzę je — stwierdził w końcu.

Nodule manganu wyglądały jak rozrzucone na dnie oceanu bryły węgla. Dziwnie, prawie nienaturalnie gładkie, uformowane przez minerały krzepnące wokół kamyków oraz ziaren piasku, były wysoko cenionym źródłem tytanu i innych szlachetnych metali. Ahearn zignorował je jednak. Szukał czegoś o wiele cenniejszego.

— Schodzę w dół, do kanionu — oświadczył.

Sterując manetkami, minął skraj plateau. Kiedy prędkość pojazdu zwiększyła się do dwóch i pół węzła, skrzydła, zaprojektowane, by wywołać efekt odwrotny niż w przypadku skrzydeł samolotu, zaczęły ściągać batyskaf w dół.

— Tysiąc dwieście metrów — poinformował. — Tysiąc dwieście pięćdziesiąt...

— Uważaj przy schodzeniu. To wąski rów. Kontrolujesz temperaturę wody?

— Zaczyna się podnosić. Wynosi teraz pięćdziesiąt pięć stopni.

— Do źródła jeszcze daleko. Znajdziesz się w gorącej wodzie dwa tysiące metrów niżej.

Jakiś cień przemknął nagle tuż obok jego twarzy. Ahearn

cofnął się mimowolnie i szarpnął manetką, przechylając *Deep Flight* w prawo. Batyskaf wałnął o ścianę kanionu i przez kadłub przeszła potężna fala uderzeniowa.

— Jezu!

— Co się stało? — zapytała Helen. — Co się stało, Steve?

Ahearn łapał kurczowo powietrze, przerażone serce tłukło mu się w piersi. Kadłub. Czy zniszczyłem kadłub? Poprzez pulsującą w uszach krew nasłuchiwał skrzypienia pękającej stali i szumu wody. Znajdował się trzy tysiące sześćset stóp pod powierzchnią wody; wynoszące sto atmosfer ciśnienie ścisnęło go ze wszystkich stron niczym żelazna pięść. Jedna szczelina w kadłubie i zmiażdży go woda.

— Odezwij się, Steve!

Całe ciało miał złane zimnym potem.

— Przestraszyłem się — wykrztusił w końcu. — Zderzyłem się ze ścianą kanionu.

— Są jakieś uszkodzenia?

Wyjrzał przez kopułę.

— Nie potrafię powiedzieć. Uderzyłem chyba o skałę przednim sonarem.

— Czy jesteś w stanie nadal manewrować?

Poruszył manetkami i łódź skrzyła w lewo.

— Tak. Tak. — Odetchnął głęboko. — Chyba nic mi się nie stało. Coś przepłynęło tuż obok kopuły. Wystraszyłem się.

— Coś?

— Minęło mnie tak szybko! Zupełnie jakby skoczył na mnie wąż.

— Czy to coś miało rybią głowę i ogon węgorza?

— Tak. To chyba to.

— W takim razie zobaczyłeś węgorzycę. *Thermarces cerberus*.

Cerber, pomyślał, wzdrygając się. Trójgłowy pies pilnujący bram piekła.

— Lubi wysokie temperatury i siarkę — powiedziała Helen. — Zobaczysz ich więcej, kiedy zbliżysz się do źródła.

Niech ci będzie. Ahearn miał bardzo białe pojęcie o morskiej biologii. Mijające akrylową kopułę stworzenia były dlań przed-

miotami zaledwie przelotnego zainteresowania, żywymi znakami, wskazującymi drogę do celu. Trzymając pewnie obie manetki, kierował *Deep Flight* w głąb otchłani.

Dwa tysiące metrów. Trzy tysiące.

Co będzie, jeśli uszkodził kadłub?

Cztery tysiące metrów. Miażdżące ciśnienie wody rosło linearnie w miarę, jak się zanurzał. Woda była teraz czarniejsza, zabarwiona tryskającymi niżej pióropuszcami siarki. Boczne światła prawie nie przenikały tej gęstej mineralnej zawiesiny. Oślepiiony wirami osadów popłynął dalej i widoczność się poprawiła. Opadał w dół po prawej stronie hydrotermicznego źródła, obok pióropusza ogrzanej magmą wody, lecz mimo to temperatura na zewnątrz wzrastała.

Pięćdziesiąt stopni Celsjusza.

W polu jego widzenia ponownie coś się poruszyło. Tym razem mocno trzymał w dłoniach przyrządy. Zobaczył kolejne, podobne do tłustych węży węgorzyce, zwisające głowami w dół, jakby unosiły się w międzyplanetarnej przestrzeni. Tryskająca ze źródła woda była bogata w ogrzany tlenek siarki, toksyczny związek niszczący wszelkie żywe organizmy. Lecz nawet w tych czarnych, zatrutych wodach życie kwitło, przybierając fantastyczne, piękne kształty. Do ścian kanionu przywarły kołysząc się długie na sześć stóp robaki Riftia, ze szkarłatnymi piórami na głowach.

Widział kiście wielkich małży w białych skorupach, z których wystawały czerwone aksamitne języki. I kraby, upiornie blade, uwijające się między szczelinami.

Mimo włączonej klimatyzacji zrobiło mu się gorąco.

Sześć tysięcy metrów. Temperatura wody wynosiła osiemdziesiąt cztery stopnie. W samym ogrzonym przez gotującą się magmę pióropuszu sięgała na pewno trzystu. To, że życie mogło istnieć nawet tutaj, w skrajnym mroku, w tych zatrutych i gorących wodach, graniczyło z cudem.

— Sześć tysięcy sześćdziesiąt metrów — powiedział. — Nadal tego nie widzę.

Głos Helen z trudem przebijał się przez trzaski:

— Ze ścian kanionu wystaje półka. Powinieneś ją zobaczyć na głębokości sześciu tysięcy osiemdziesięciu metrów.

— Rozglądam się.
— Zwolnij tempo zanurzania. Zaraz się pojawi.
— Sześć tysięcy siedemdziesiąt, nadal się rozglądam. Tu na dole wszystko wygląda jak zupa fasolowa. Może jestem w złym miejscu.

— ...odczyty sonaru... runęła nad tobą!
Jej słowa zagłuszyły trzaski.
— Nie słyszę cię dobrze. Powtórz.
— Ściana kanionu wali się w dół! Skały sypią się na ciebie.
Uciekaj!

Uderzające w kadłub kamienie sprawiły, że ogarnięty paniką Ahearn przesunął manetki do przodu. Potężny głąz przeciął mrok tuż przed nim i odbił się od półki kanionu, strącając w otchłań świeży grad skalnych okruchów. Coraz częściej trafiały go kamienie. A potem rozległ się ogłuszający huk. Ahearn miał wrażenie, jakby oberwał pięścią w głowę.

Wyrznął szczęką w kokon. Czuł, że łódź przechyliła się na bok, i usłyszał przyprowadzający o mdłości zgrzyt metalu, gdy prawe skrzydło otarło się o wystające skały. Batyskaf płynął dalej, wlokąc za sobą wir osadów.

Ahearn pociągnął za dźwignię awaryjnego wynurzenia i szarpnął obie manetki, kierując łódź w górę. *Deep Flight* skoczył naprzód, szorując metalem o skałę, a potem niespodziewanie stanął, przechylony na prawą burtę. Ahearn gorączkowo manipulował manetkami, włączając pełen ciąg.

Batyskaf nie reagował.

Ahearn przerwał na chwilę, czując, jak wali mu serce, i próbując opanować rosnącą panikę. Dlaczego nie płynął w górę? Dlaczego łódź nie reagowała? Ze strachem spojrzął na dwa cyfrowe wyświetlacze. Baterie były nieuszkodzone, klimatyzacja nadal działała. Głębokościomierz pokazywał sześć tysięcy osiemdziesiąt dwa metry.

Osady powoli opadły i lampa na lewym skrzydle wyluskała z mroku jakieś kształty. Patrząc prosto przed siebie, Ahearn zobaczył poszarpane czarne skały i krwistoczerwone robaki Riftia. Wykręcił kark, żeby zerknąć na prawe skrzydło. To, co zobaczył, sprawiło, że żołądek podszedł mu do gardła.

Skrzydło zaklinowało się między dwiema skałami. Nie mógł popłynąć do przodu. Nie mógł się cofnąć. Leżę w grobie, dziewiętnaście tysięcy stóp pod powierzchnią morza, pomyślał.

— ...słyszysz? Steve, czy mnie słyszysz?

— Nie mogę się ruszyć — usłyszał swój własny głos, osłabły z przerażenia. — Prawe skrzydło zaklinowało się...

— ...lotki prawego skrzydła. Mały skręt może cię uwolnić.

— Próbowałem już. Próbowałem wszystkiego. Jestem nieruchomiony.

W słuchawkach zapadła martwa cisza. Czy urwała się łączność? Czy wyłączyli nadajnik? Pomyślał o statku wysoko na górze, kołyszącym się łagodnie na falach. Pomyślał o blasku słońca. Na powierzchni był przepiękny słoneczny dzień, nad głowami szybowały ptaki. Morze miało kolor głębokiego bezdenne błękitu...

Nagle usłyszał głos Palmera Gabriela, faceta, który sfinansował ekspedycję. Był jak zwykle spokojny i opanowany.

— Zaczynamy akcję ratowniczą, Steve. Drugi batyskaf został już spuszczonej na wodę. Wyciągniemy cię na powierzchnię tak szybko, jak to będzie możliwe. Czy coś widzisz? — zapytał po krótkiej przerwie. — Możesz opisać, co cię otacza?

— Łódź leży na skalnej półce tuż nad źródłem.

— Możesz podać więcej szczegółów?

— Co?

— Jesteś dziewiętnaście tysięcy stóp pod powierzchnią. Dokładnie na głębokości, która nas interesuje. Jak wygląda dokładnie ta półka? Jak wyglądają skały?

Ja tu, kurwa, umieram, a on pyta o jakieś skały.

— Zapal stroboskop, Steve. Powiedz nam, co widzisz.

Ahearn zmusił się, żeby spojrzeć na panel przyrządów, i zapalił lampę stroboskopową.

W mroku zabłysło ostre światło. Patrzył na świeżo odkryty pejzaż, który migotał przed siatkówkami jego oczu. Wcześniej przyglądał się robakom Riftia. Teraz skupił uwagę na olbrzymim rumowisku zaścielającym półkę. Głazy były czarne podobnie jak nodule magnezu, różniły się jednak od nich poszarpanymi brzegami. Zerkając na prawo, na świeżo odlupaną skałę, która

przygniotła skrzydło pojazdu, nagle zdał sobie sprawę, na co patrzy.

— Helen miała rację — szepnął.

— Nie słyszę cię dobrze.

— Miała rację! Źródło irydium... teraz je dobrze widzę.

— Tracimy łączność. Powinieneś...

Głos Gabriela zagłuszyły trzaski, a potem w słuchawkach zapadła cisza.

— Nie słyszę cię! Powtarzam, nie słyszę cię! — zawołał Ahearn.

Słyszał tylko własne walące głośnie serce i chrapliwy oddech. Uspokój się, uspokój. Zużywasz za dużo tlenu...

Za akrylową kopułą widać było tańczące łagodnie w zatrutej wodzie żywe organizmy. Mijały minuty, a on obserwował kołyszące się robaki Riftia, ich szkarłatne pióropusze, które przeczesywały wodę w poszukiwaniu pokarmu. Obserwował pozbawionego oczu kraba, pełznącego powoli przez kamienne rumowisko.

Światła przygasły. A potem nagle stanęły wiatraki klimatyzatora.

Wyczerpywały się baterie.

Ahearn wyłączył stroboskop. Teraz ćmiła się tylko słabo lampa na lewym skrzydle. Wiedział, że za parę minut poczuje ciepło wody, którą magma ogrzała do osiemdziesięciu kilku stopni. Kiedy żar przeniknie przez kadłub, powoli ugotuje się żywcem we własnym pocie. Czuł, jak z czoła spływa mu na policzek pierwsza kropla. Nie spuszczał z oczu pojedynczego kraba, który kroczył nieśpiesznie po skalnej półce.

Lampa na skrzydle zamigotała i zgasła.

Rozdział drugi

7 lipca

Dwa lata później

Wstrzymać misję

Poprzez ryk rakiet stałopaliwowych i łoskot kadłuba, od którego Emmie Watson, specjalistce misji, szczękały zęby, komenda „wstrzymać” zabrzmiała w jej umyśle tak wyraźnie, jakby usłyszała ją wykrzyczaną w słuchawkach. Żaden z członków załogi nie powiedział tego na głos, ale wiedziała, że trzeba podjąć decyzję i trzeba zrobić to szybko. Nie usłyszała jeszcze werdyktu siedzących przed nią w kokpicie kapitana Boba Kittredge’a oraz pilot Jill Hewitt, ale nie musiała. Pracowali razem tak długo, że potrafili wzajemnie czytać w swoich myślach. Bursztynowe lampki na konsoli lotu dyktowały wyrażenie, co powinni teraz zrobić.

Przed kilkoma sekundami *Endeavour* osiągnął Max Q, punkt największego naprężenia aerodynamicznego podczas startu, kiedy pokonujący opór atmosfery wahadłowiec zaczyna gwałtownie dygotać. Kittredge zredukował na krótko ciąg do siedemdziesięciu procent, żeby osłabić wibracje. Ostrzegawcze lampki na konsoli informowały teraz, że stracili dwa z trzech głównych silników. Z jednym silnikiem i dwiema raketami na paliwo stałe nigdy nie wejdą na orbitę.

Musieli wstrzymać misję.

— Centrum kontroli, tu *Endeavour* — powiedział Kittredge.

Miał spokojny i stanowczy głos. Ani śladu paniki. — Nie mogę zwiększyć ciągu. Lewy i środkowy silnik wysiadły w Max Q. Wdepnęliśmy w gówno. Będziemy musieli przystąpić do procedury RTLS.

— Przyjąłem, *Endeavour*. Potwierdzamy awarię dwóch silników. Po odłączeniu rakiet na paliwo stałe zacznij procedurę RTLS.

Emma kartkowała już pliki procedur i po chwili wyjęła kartę RTLS, zawierającą listę czynności, które należało wykonać podczas awaryjnego lądowania w miejscu startu. Załoga знаła na pamięć wszystkie punkty, lecz w gorączce awaryjnego lądowania mogli o czymś ważnym zapomnieć. Ta karta była ich polisą na życie.

Z bijącym szybko sercem Emma prześledziła zaznaczony niebieskim kolorem właściwy tryb postępowania. Lądowanie w miejscu startu bez dwóch silników było możliwe — ale tylko teoretycznie. Teraz musiał wydarzyć się cały szereg cudów. Najpierw musieli zrzucić paliwo i wyłączyć ostatni główny silnik przed odłączeniem wielkiego zewnętrznego zbiornika. Następnie Kittredge powinien ustawić wahadłowiec dziobem w kierunku miejsca startu. Będzie miał jedną, tylko jedną szansę, żeby bezpiecznie przyziemić w Centrum Kennedy'ego. Jedna pomyłka mogła spowodować, że *Endeavour* runie do morza.

Ich życie znajdowało się teraz w rękach kapitana Kittredge'a.

Jego głos, gdy rozmawiał z centrum kontroli, nadal wydawał się spokojny, nawet znudzony. Mijała druga minuta lotu. Następny punkt kryzysowy. Na katodowym wyświetlaczu ukazał się komunikat „Pc<50”. Paliwo stałe w rakietach wypaliło się zgodnie z planem.

Emma wyczuła natychmiast, że lecą z mniejszą szybkością. Potem zmrużyła oczy, gdy za oknem błysnęły ładunki wybuchowe i rakiety odpadły od zbiornika.

Ryk silników raptownie umilkł, gwałtowny dygot ustąpił gładkiej, prawie spokojnej jeździe. W nagłej ciszy Emma poczuła, jak jej własny puls przyspiesza, jak serce uderza niczym pięść o pasy na piersiach.

— Centrum kontroli, tu *Endeavour* — powiedział Kittredge,

wciąż nienaturalnie spokojny. — Rakiety na paliwo stałe odłączone.

— Przyjąłem, widzimy to.

— Zaczynamy procedurę lądowania awaryjnego.

Kittredge wcisnął przycisk awaryjnego lądowania. Otaczające przycisk pokrętko nastawione już było na opcję RTLS.

— Przeczytaj nam ściągawkę! — zawołała Jill Hewitt, zwracając się do Emmy.

— Już się robi.

Emma zaczęła głośno czytać punkty procedury. Głos miała spokojny, tak samo jak Kittredge i Hewitt. Nikt, kto przysłuchiwałby się ich rozmowie, nie domyśliłby się, że grozi im katastrofa. Zachowywali się jak automaty: nie dopuszczali do siebie paniki, wykonując każdą kolejną czynność zgodnie z wykutymi na pamięć instrukcjami. Ich komputery pokładowe powinny samodzielnie ustalić powrotny kurs. Nadal lecieli wyznaczoną trajektorią, wspinając się na pułap czterystu tysięcy stóp i zrzucając po drodze paliwo.

Poczuła, jak kręci się jej w głowie, kiedy wahadłowiec zaczął okręcać się wokół własnej osi. Horyzont, który widzieli do góry nogami, nagle wyprostował się, gdy zawrócili w stronę odległego o prawie 400 mil Centrum Kennedy'ego.

— *Endeavour*, tu centrum kontroli. Wyłącz główny silnik.

— Przyjąłem — odparł Kittredge. — Wyłączam główny silnik.

Na tablicy przyrządów zapaliły się na czerwono trzy lampki kontrolne. Kittredge odciął zasilanie głównego silnika. Za dwadzieścia sekund zewnętrzny zbiornik paliwa powinien spaść do morza.

Tracimy szybko wysokość, pomyślała Emma. Ale lecimy do domu.

Nagle wzdrygnęła się. Zabrzęczał sygnał alarmowy i na konsoli zapaliły się kolejne światła awaryjne.

— Centrum kontroli, straciliśmy komputer numer trzy! — zawołała Hewitt. — Straciliśmy wektor nawigacyjny! Powtarzam, nie mamy wektora nawigacyjnego.

— To pewnie awaria bezwładnościowego systemu pomiaro-

wego — stwierdził Andy Mercer, siedzący obok Emmy drugi specjalista misji. — Wyłącz go.

— Nie. To może być uszkodzenie magistrali danych — wtrąciła Emma. — Moim zdaniem powinniśmy włączyć zapasowy komputer.

— Zgoda — mruknął Kittredge.

— Przechodzę na zapas — powiedziała Hewitt, włączając komputer numer pięć.

Wektor ponownie się pojawił. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Eksplzje ładunków wybuchowych zasygnalizowały odłączenie się pustego zbiornika. Nie mogli zobaczyć, jak spada do morza, ale wiedzieli, że pokonali kolejny krytyczny punkt. Prom leciał teraz swobodnie: grube, niezgrabne ptaszysko, szubujące do domu.

— Cholera! — krzyknęła Hewitt. — Straciliśmy APU!

Emma poderwała głowę, słysząc nowy sygnał alarmowy. Wysiadł generator zasilający. Potem zaterkotał następny brzęczyk i jej spanikowany wzrok pobiegł ku konsoli. Mrugało na niej mnóstwo bursztynowych światełek. Z ekranów zniknęły wszystkie dane; zamiast nich pojawiły się złowieszcze czarno-białe pasy. Awaria systemów komputerowych. Lecieli bez danych nawigacyjnych, nie mogąc manewrować łotkami.

— Andy i ja spróbujemy włączyć APU! — wrzasnęła Emma.

— Uruchomcie ponownie komputer numer pięć!

Hewitt wcisnęła przełącznik i zaklęła.

— Nic z tego.

— Spróbuj jeszcze raz!

— Nadal bez skutku.

— Przechyliamy się w prawo! — zawołała Emma, czując, jak przewraca się w niej żołądek.

Kittredge zmagał się ze sterami, ale przechył był zbyt głęboki. Horyzont stanął w pionie, a potem obrócił się do góry nogami. Po chwili wrócili do pierwotnej pozycji i żołądek Emmy ponownie podszedł jej do gardła. Następny obrót był szybszy i w końcu horyzont zaczął wirować w przyprawiającej o mdłości spirali nieba i morza, nieba i morza.

W spirali śmierci.

Usłyszała jęk Hewitt, a chwilę później zrezygnowany głos Kittredge'a:

— Nie panuję nad sterami.

Zaczęli obracać się coraz prędzej, a potem wszystko zakończyło się nagłym wstrząsem.

Zapadła cisza.

□ □ □

— Przepraszam, kochani — odezwał się wesoły głos w ich słuchawkach. — Tym razem wam się nie udało.

Emma ściągnęła z głowy hełmofon.

— To nie było uczciwe, Hazel.

— Uwzieliście się, żeby nas zabić — zawtórowała jej Hewitt. — Nie mieliśmy żadnych szans.

Emma jako pierwsza wygramoliła się z kabiny symulatora lotu i na czele innych weszła do pozbawionego okien centrum kontroli, gdzie za konsolami siedziało troje instruktorów.

Szefowa zespołu, Hazel Barra, odwróciła się ze złośliwym uśmieszkiem do rozwścieczonej załogi kapitana Kittredge'a. Chociaż ze swymi kręconymi brązowymi włosami wyglądała jak pocziwa mateczka, w rzeczywistości była bezwzględny graczem, fundującym załogom najbardziej trudne symulacje. Każdą ich porażkę traktowała jak własne zwycięstwo. Zdawała sobie świetnie sprawę, że każdy start może się zakończyć katastrofą; chciała, żeby jej astronauta umieli sobie radzić w każdej sytuacji. Utrata jednej z załóg była koszmarem, który, miała nadzieję, nigdy się nie spełni.

— Te numery były naprawdę poniżej pasa, Hazel — stwierdził Kittredge.

— Zawsze wam się udawało, kochani. Musieliśmy wam przytrzeć trochę nosa.

— Dajcie spokój — mruknął Andy. — Awaria dwóch silników podczas startu? Uszkodzona magistrala danych? Awaria APU? A potem dorzucacie niesprawny komputer numer pięć? Policzcie, ile to razem usterek. To nierealne.

Jeden z trzech instruktorów, Patrick, obrócił się do nich, szczerząc zęby.

— Nie zauważyliście nawet, że było coś jeszcze.

— Coś jeszcze...?

— Dorzuciłem wam uszkodzony czujnik przy zbiorniku z tlenem. Żadne z was nie zauważyło zmiany na ciśnieniomierzu?

Kittredge zaczął się śmiać.

— Kiedy niby mieliśmy to zauważyć? Walczyliśmy z tuzinem innych awarii.

Hazel uniosła pulchne ramię, wzywając do zawieszenia broni.

— W porządku, moi drodzy. Może trochę przesadziliśmy. Szczerze mówiąc, nie spodziewaliśmy się, że uda wam się doprowadzić tak daleko procedurę RTLS. Chcieliśmy wam dorzucić jeszcze jedną awarię, żeby było ciekawiej.

— Dorzuciliście nam całą furę awarii — parsknęła Hewitt.

— Rzecz w tym, że jesteście za bardzo zarozumiali — stwierdził Patrick.

— Właściwym słowem jest „pewni siebie” — zaprotęstowała Emma.

— To dobrze — przyznała Hazel. — To dobrze, kiedy człowiek jest pewny siebie. Podczas zintegrowanej symulacji w zeszłym tygodniu świetnie pracowaliście w zespole. Nawet Gordon Obie powiedział, że jest pod wrażeniem.

— Sfinks powiedział coś takiego?

Kittredge uniósł brwi, zdziwiony. Gordon Obie, dyrektor Operacji Lotów Załogowych, był człowiekiem tak onieśmiejająco małomównym i powściągliwym, że nikt w Centrum Johnsona nie znał go zbyt dobrze. Siedział na zebraniach kierownictwa misji, nie mówiąc ani słowa, lecz nikt nie wątpił, że jego umysł rejestruje każdy szczegół. Wśród astronautów budził podziw i wcale nie mały lęk. Mając ostatnie słowo w kwestii składu misji, mógł im bardzo pomóc albo zaszkodzić w karierze. Fakt, że pochwalił zespół Kittredge’a, stanowił naprawdę dobrą wiadomość.

Hazel nie pozwoliła im jednak popaść w samouwielbienie.

— Ale z drugiej strony — dodała zaraz — Obiego martwi, że tak lekko to wszystko traktujecie. Że to dla was wciąż tylko zabawa.

— A czego się po nas spodziewa? — zdziwiła się Hewitt. — Że będziemy obsesyjnie analizować tysiące sytuacji, w których możemy się rozbić i spalić?

— Katastrofa to nie kwestia teorii.

Ta uwaga, tak spokojnie wypowiedziana, sprawiła, że na chwilę umilkli. Od czasów *Challengera* każdy astronauta miał świadomość, że kolejna wielka katastrofa jest tylko kwestią czasu. Ludzie siedzący w dziobie rakiety, pod którą eksploduje pięć milionów funtów paliwa, nie mogą sobie pozwolić na lekki ton, gdy mówi się o ryzyku ich zawodu. Mimo to rzadko napomykali o śmierci w kosmosie; mówienie o tym oznaczałoby przyznanie, że jest możliwa, przyjęcie do wiadomości, że ich nazwiska mogą się znaleźć na liście załogi następnego *Challengera*.

Hazel zorientowała się, że jej słowa podziały na nich jak zimny prysznic. Nie był to najlepszy sposób zakończenia ćwiczeń, więc postanowiła złagodzić nieco swój wcześniejszy krytycyzm.

— Mówię to tylko dlatego, moi drodzy, że jesteście tak dobrze zintegrowani. Muszę nieźle główkować, żebyście się potknęli. Do startu zostało jeszcze trzy miesiące, a wy już teraz jesteście w świetnej formie. Ale ja chcę, żebyście byli w jeszcze lepszej.

— Innymi słowy — odezwał się zza swojej konsoli Patrick — nie zadzierajcie tak bardzo nosa.

Bob Kittredge opuścił głowę w udawanej pokorze.

— Pójdziemy teraz do domu i założymy włosiennice — mruknął.

— Przesadna pewność siebie może okazać się groźna — oświadczyła Hazel, podnosząc się z krzesła i patrząc mu prosto w oczy.

Kittredge był od niej o pół głowy wyższy, miał za sobą trzy loty w kosmosie i jak każdy były pilot marynarki wojennej nie dawał sobie w kaszę dmuchać, lecz Hazel nie onieśmiał ani on, ani żaden z jej astronautów. Bez względu na to, czy byli ekspertami raketowymi, czy wojennymi bohaterami, budzili w niej taką samą matczyną troskę: chciała, żeby wszyscy wrócili żywi na ziemię.

— Ponieważ jesteś takim dobrym dowódcą, Bob, twoja załoga doszła do przekonania, że to wszystko jest bardzo łatwe.

— Nie, oni tylko robią wrażenie, że to takie łatwe. Bo są dobrzy.

— Zobaczmy. Zintegrowana symulacja wyznaczona jest na wtorek. Będziecie mieli na pokładzie Hawleya i Higuchiego. Wymyślimy jakieś nowe sztuczki.

Kittredge uśmiechnął się.

— W porządku, postarajcie się nas zabić. Ale bądźcie w tym uczciwi.

— Los rzadko kiedy jest uczciwy — odparła poważnym tonem Hazel. — Nie spodziewajcie się tego po mnie.

□ □ □

Emma i Bob Kittredge siedzieli w barze Fly By Night, popijając piwo i analizując krok po kroku ćwiczenie na symulatorze. Był to rytuał, który zapoczątkowali przed jedenastoma miesiącami, kiedy dopiero tworzył się ich zespół i kiedy po raz pierwszy spotkali się jako załoga lotu numer 162. W każdy piątkowy wieczór spotykali się w barze Fly By Night, przy biegnącej do Centrum Johnsona drodze NASA nr 1, i omawiali postępy szkolenia. Co robili dobrze, a co wymagało jeszcze dalszej pracy? Inicjatywa wyszła od Kittredge'a, który osobiście wybierał każdego członka swojej załogi. Chociaż pracowali ostatnio wspólnie po sześćdziesiąt godzin tygodniowo, najwyraźniej nigdy nie miał ochoty iść do domu. Może dlatego, myślała z początku Emma, że niedawno się rozwiódł i bał się wracać do pustego mieszkania. Kiedy jednak poznała go lepiej, uświadomiła sobie, że te spotkania stanowiły po prostu sposób na podtrzymanie wysokiego poziomu adrenaliny. Kittredge żył po to, żeby latać. Dla czystej rozrywki czytał nudne jak flaki z olejem podręczniki pilotażu promu i każdą wolną chwilę spędzał za sterami jednego z należących do NASA odrzutowców T-38. Prawie tak, jakby żałował, że siła grawitacji przykuła jego stopy do ziemi.

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego pozostali członkowie załogi

chcą pod koniec dnia iść do domu. Tego wieczoru wydawał się nieco rozżalony, że tylko dwie osoby siedziały przy tym samym co zwykle stoliku we Fly By Night. Jill Hewitt poszła na recital fortepianowy swojego siostrzeńca, Andy Mercer świętował dziesiątą rocznicę ślubu. O umówionej godzinie pojawili się tylko Emma i Kittredge i gdy przestali wreszcie wałkować ostatnią symulację, zapadło między nimi długie milczenie. Tylko sprawy zawodowe nadawały ton rozmowie.

— Zabieram jutro jeden z naszych T-38 do White Sands — oznajmił w końcu Kittredge. — Chcesz lecieć ze mną?

— Nie mogę. Jestem umówiona z moim adwokatem.

— Więc ty i Jack nie zmieniliście zdania?

Emma westchnęła.

— Sprawa nabrała rozpędu. Jack ma swojego adwokata, ja swojego. Ten rozwód zmienił się w uciekający pociąg.

— Brzmi to tak, jakbyś miała jakieś opory.

Emma zdecydowanym gestem odstawiła piwo.

— Nie mam żadnych oporów.

— W takim razie dlaczego wciążnosisz jego obrączkę?

Spojrzała na złotą ślubną obrączkę. Poirytowana próbowała ją ściągnąć, ale bez skutku. Przez siedem lat obrączka jakby zrosła się z palcem, nie dawała się w ogóle ruszyć. Emma zakłęła i spróbowała ponownie, tym razem ciągnąc tak silnie, że zdarła sobie skórę z kłykcia.

— Proszę bardzo — powiedziała, kładąc obrączkę na stole. — Jestem teraz wolną kobietą.

Kittredge roześmiał się.

— Wy dwoje ciągniecie ten rozwód dłużej, niż ja byłem żonaty. Swoją drogą, o co się tak długo handryczycie?

Odsunęła się do tyłu na krześle, nagle znużona.

— O wszystko. Przyznaję, że ja też nie jestem rozsądna. W zeszłym tygodniu próbowaliśmy usiąść i sporządzić listę naszych ruchomości. Co chce ja, co chce on. Przyrzekliśmy sobie, że będziemy zachowywać się w sposób cywilizowany. Jak dwoje spokojnych, dojrzałych ludzi. Zanim doszliśmy do połowy, wybuchła między nami totalna wojna. Bez brania jeńców.